

"Wszystko tam będziecie mieć i dobrze żyć"

OTYLIA SACHA z domu OLCHAWA córka Piotra i Wiktorii
ur. 30 IX 1919 w Nowym Sączu. Zamieszkała w Szczepanowie ko-
lonia Bartoszkówka pow. Brzeżany woj. Tarnopol. Deportowana
z miejsca zamieszkania wspomina:

W dniu 10 II 1940r o godzinie piątej rano do naszego
domu weszło dwóch radzieckich żołnierzy i nasz sąsiad Ukrai-
niec /nazwiska nie pamiętam/.

Żołnierz zapytał gdzie jest mąż. Odpowiedziałam, że w
stajni karmi konie.

Przyprowadzili męża do mieszkania. Powiedzieli nam, że
na podstawie zarządzenia władzy radzieckiej przesiedlają nas
do ZSRR. Uprzedzili, aby z sobą nic nie zabierać. Powiedzieli:
"Wszystko tam będziecie mieć i dobrze żyć".

Mężowi rozkazali zaprzęgnąć nasze konie do sań. W tym
celu jeden z żołnierzy wyszedł z mężem z mieszkania.

Ja ze zdenerwowania potrzebowałam wyjść do ubikacji.
Żołnierz poszedł ze mną. Jak wróciłam Ukrainiec siedział w
mieszkanie z głową opartą o stół. Do mnie powiedział, że boli
go głowa /może się wstydzik/ nie patrzył na mieszkanie.

Mąż wrócił z żołnierzem i do worka pakował ubranie, żyw-
ność, a ja w szoku wyrzucałam. Mimo to, mąż zdążył zabrać
pierzynię, poduszkę, pościel, ubranie, chleb.

Wyszliśmy z naszego domu:

Wiktoria Olchawa	ur. 1877	matka Otylii
Otylia Sacha	ur. 1919	córka Wiktorii, autorka wspomnień.
Stanisław Sacha	ur. 1908	mąż Otylii

Wsiadliśmy do sań. Żołnierze poszli do domu mojej siostry Dubiak. Buczek.

Ukrainiec zawiózł nas do domu ludowego w Szczepanowie. W pomieszczeniu było dużo ludzi z kolonii Bartoszkówka.

Byli również Rosjanie. Jeden z nich grał na harmonii, inni tańczyli. Nasi ludzie Polacy płakali.

Po kilku godzinach spisali nas i znów do sań. Nas wiózł ten sam Ukrainiec nasz sąsiad. Jechało kilkanaście sań /długi ciąg/. Za nami biegły dwa psy sąsiada.

Zawieźli nas do stacji Krzywe. Żołnierze radzieccy zaprowadzili nas do wagonu w którym był jeszcze obornik. W wagonie byli już ludzie. Po obu stronach ścian wagonu prycze. Pośrodku ~~z~~ żelazny piecyk. Dziurę w podłodze zrobili sami mężczyźni. Okienka zakratowane, wagon zamknięto od zewnątrz.

Jak zapełnili podstawione wagony na stacji Krzywe, zawieźli nas do stacji Potutory. Psy sąsiada jechały na stopniach wagonu. Na stacji w Potutorach widzieliśmy ich ostatni raz.

Czekaliśmy w Potutorach. Nadjechał pociąg towarowy z ludźmi. Do tego pociągu dołączyli nasze wagony. Wówczas wyruszyliśmy ze stacji.

W czasie podróży co kilka dni dawali nam ryby, jakąś kaszę. Do picia niby przegotowaną, żółtą wodę. Po tej wodzie ludzie chorowali. Mieli biegunkę.

Do ^{OMUTNIŃSK} Omłutuńska przyjechaliśmy 3 III 1940r. Wyprowadzili nas z wagonów. Kazali nam wsiąść do podstawionych, odkrytych samochodów ciężarowych. Wieźli nas cały dzień do miasta Jurła.

W Jurła umieścili nas w szkole. Dali nam coś do jedzenia, ale nie pamiętam co to było. Spaliśmy na podłodze.

Rano do sań i znów cały dzień trwała podróż. Jechaliśmy 75 kilometrów. Naszym przeznaczeniem była tajga.

Zamieszkaliśmy w baraku. Baraki zbudowane z drzew okrągłaków. W nich prycze, podłoga drewniana, piec żelazny. Pluskwy i karaluchy. My przyjechaliśmy zawszeni.

W baraku mieszkało po dwie rodziny, z tym że każda rodzina miała dla siebie oddzielną przegrodę. Jak w stajni dla

krów. Spaliśmy na pryczach, okrywaliśmy się swoją pościelą.

Po przyjeździe dali nam po małym bocheneczku chleba i nic więcej. Z tego chleba część odkroiłam i ususzyłam sucharów z myślą, że mogą być jeszcze gorsze czasy.

Rano komendant zrobił zebranie. Spisał zdolnych do pracy w tajdze, oraz przy piłowaniu desek. Część ludzi skierował do budowy baraków w Suświe. Mąż poszedł do pracy w Suświe. Otrzymywał jeden kilogram chleba dziennie. Ja pracowałam w lesie. Zarabiałam również kilogram chleba. Praca bardzo ciężka. Teren podmokły. Stałam w błocie, wodzie. Strażnik który nas pilnował mówił nam: "Tak będziecie pracować, aż zdechniecie".

Wkrótce zachorowałam. Miałam gorączkę 40°C. Byłam przeziębiona. Lekarza nie było. Znajoma postawiła mi bańki /miała z domu/. Przez okres choroby dostawałam tylko trzydzieści dekagramów chleba dziennie. Mama nie pracowała. Otrzymywała też trzydzieści dekagramów chleba.

Po dwóch tygodniach wróciłam do pracy. Przed wyjściem do pracy, suszone skórki chleba zalałam gorącą wodą i to był mój posiłek. Do pracy chodziłam trzynaście kilometrów. Pracowałam po dziesięć godzin dziennie.

W trzecim dniu naszego pobytu tutaj zmarła starsza kobieta. Nazwiska jej nie znam. Wiem, że zabrano ją z domu chorą. Pochowaliśmy ją w skrzyni z desek w tajdze, obok baraków.

Gdy w Suświe pobudowano baraki, zostaliśmy tam przeniesieni. W nowych barakach nie było pluskiew.

W baraku mieszkało nas cztery rodziny. Była kuchnia murowana. Można było gotować, tylko że nie mieliśmy co gotować. Spaliśmy na pryczach pod swoją pościelą zabraną z domu.

W stołówce można było kupić kaszę gotowaną. Dwie łyżki za sześćdziesiąt kopiejek. Zarabialiśmy tyle, że z trudem starczało na wykupienie przydzielonego czarnego chleba.

W Suświe pracowałam w lesie. Do pracy trzeba było przyjść punktualnie na wyznaczoną godzinę. Miałam blaszany numererek /numeru nie pamiętam/, który przed pracą trzeba było zawiesić na tablicy w specjalnym pomieszczeniu. Pomieszczenie zamykano

o godzinie 8-mej. Jak ktoś się spóźnił, nie oddał numerka miał sąd. Otrzymywał karę - potrącenie z zarobków 25% przez pół roku.

Pracowałam w Suświe przy kopaniu rowów. Kupiłam sobie w stołówce kaszę, którą się zatruchałam. Zeszłam z pracy, wróciłam do baraku. Na szczęście nie zauważono mojej nieobecności, ominął mnie sąd.

W dniu 7 V 1941r umiera z głodu moja mama. Pochowana w skrzyni w lesie w Suświe. Z głodu, ~~za~~ zimna umierało w tym czasie w Suświe do trzech osób dziennie. Nazwisk osób zmarłych nie pamiętam.

Przez krótki okres mąż pracował na rzece Kamie przy spławie drzewa. Wówczas więcej zarabiał. Później męża przenieśli o 45 kilometrów dalej. Mąż tam układał drzewo na samochody i odwoził na rzekę Kamę. Miałam trudności, ale po pewnym czasie i mnie przenieśli do męża do pracy. Układałam drzewo w "sztable".

Mieszkaliśmy w budynku szkolnym bez okien. Spaliśmy na żelaznych łóżkach. Do przykrycia się dostaliśmy koce. W lecie dokuczały nam komary.

Żyjemy przydzieloną porcją chleba, czasem w stołówce kupiłam zupę lub porcję kaszy. W lecie zbieraliśmy w tajdze jagody.

W jesieni 1941r na zebraniu naczelnik poinformował nas że: jesteście wolnymi obywatelami ZSRR. Pozwolono nam wyjechać do dowolnej miejscowości.

Zaraz po tej informacji w trzy rodziny wyruszyliśmy z ^{taigi} kołchozu. Na drogę mieliśmy z sobą gotowane ziemniaki. Szliśmy dwa dni. Po drodze mijaliśmy kołchoz. Tam zatrzymaliśmy się na noc. Dali nam chleba. Następnego dnia doszliśmy do wioski Waśkina. Dostaliśmy pracę w kołchozie. Pracowałam przy pracach polowych. Mąż młócił zboże, odwoził ziarno do Piaskowki. Do Kudymkaru odwoził len. Odległość znacznie większa niż do Piaskowki. Musiał w czasie drogi dwa razy się zatrzymywać, nakarmić konie. Postoje były w lesie w specjal-

nie do tego celu wyznaczonych barakach.

Zamieszkaliśmy w pustym domu w trzy rodziny. W tym kołchozie dawali nam mąkę /nie pamiętam ile/. Mogłam jednak upiec chleb. Mleko można było kupić, ale trzeba było przepłynąć łódką rzekę Kamę i iść cztery kilometry do wioski. Zamieniałam ubranie na żywność. Teraz zrozumiałam jak dobrze mąż zrobił, że zabrał trochę bielizny i ubrań.

Jak w kołchozie zdechła krowa, to dali nam po kawałku mięsa. W ten sposób jadłam na zesłaniu trzy razy mięso.

Z czasem przenieśliśmy się do miejscowości Niżna Waśkina. Zamieszkałam z mężem u gospodyni. Gospodyni była inwalidką, mieszkała z przybraną córką. Za to, że u niej mieszkaliśmy otrzymywała zapłatę z kołchozu.

W marcu 1943r męża zabierają do wojska. Nie wiedział, że do wojska rosyjskiego. Dowiedział się o tym dopiero od Polaków w Kirowie. Mąż odmówił służby. W Kirowie zapisał się do wojska Polskiego. Wrócił do domu. W maju 1943r otrzymał kartę powołania do wojska.

Jestem w ciąży, zostaje sama. Pracuję w kołchozie. Wykonuję ciężką pracę polową. Dopiero w ostatnich dniach ciąży, dali mnie do lżejszej pracy przy zagrabywaniu siana. Już nie dźwigałam ciężarów.

Nadszedł czas porodu. Dostałam bóli. Z kołchozu dali mi konie i jedna z pracownic odwiozła mnie do izby porodowej w Biesierowie. W dniu 5 XI 1943r urodziłam córeczkę.

W izbie porodowej dobrze się mną opiekowali. Po dziesięciu dniach wypisano mnie. Poszłam do znajomych Polaków sąsiadów z Polski. Mieszkali tu w Biesierowie.

Pieluszki dla córeczki zrobiłam z bielizny pościelowej zabranej z domu.

W Biesierowie był punkt darów amerykańskich. Dostałam koc, płaszcz, ubranie, konserwy, mąkę, cukier.

Moja znajoma Honorata Drag ochrzciła córeczkę "z wody" dała imię Helena.

Po kilkunastu dniach wróciłam do Niżna Waśkina do gospo-

dyni u której mieszkałam przed urodzeniem córeczki. Nie pracowałam. Miałam mąkę z darów. Ziemniaki z własnej działki. Jak mąż poszedł do wojska, z kołchozu dali mi małą działkę.

Po kilku miesiącach wróciłam do pracy w kołchozie. Córeczką opiekowała się gospodyni. Miała zresztą pod opieką jeszcze troje rosyjskich dzieci. Za opiekę nad dziećmi otrzymywała zapłatę z kołchozu.

Wstawałam o trzeciej godzinie rano./Gospodyni miała zegar. Zaprzęgałam konie i wyjeżdżałam w pole. Raz spóźniłam się o dziesięć minut, to Rosjanka która pilnowała punktualności, zrobiła mi wielką awanturę.

O godzinie dziewiątej rano karmiłam konie w polu. W tym czasie biegłam do domu, nakarmić córeczkę. Do pracy również wracałam biegiem. Najtrudniej jednak było w zimie. Siano było składowane w polu w stogach. Po to siano jeździłam z koleżanką. Trzeba było najpierw rozbić zmrożoną warstwę śniegu na stożu. Naładować siano na sanie. Jechać trzeba było co dzień, niezależnie od tego jaka była pogoda. Zawieje, traskający mróz - my musiałyśmy jechać. Tak pracowałam przez dwie zimy.

Nasze wyżywienie, to gotowane ziemniaki z odrobiną mąki, ugniecione na jednolitą masę. Czarna zbożowa gorzka kawa, cebula. Czasem upiekłam chleb z mąki i ziemniaków.

Światło w mieszkaniu, to szczyпка brzoza umocowana w metalowej ręczce.

Od męża z wojska otrzymywałam listy.

W okresie upałów dzieci bardzo chorowały na biegunkę. Moją córeczkę na szczęście omijały choroby. Rosła, chodziła, mówiła. Z otrzymanych darów szyłam jej ubranka.

Do naszego kołchozu dotarła wiadomość, że skończyła się wojna. Nie miało to żadnego wpływu na zmianę naszego życia.

Dopiero 3 III 1946r zawiadomili nas w kołchozie, że możemy wyjechać do Polski.

Wyjechało nas trzy rodziny. Moja siostra z dwojgiem dzie-

ci, koleżanka z matką i ja z córeczką.

Saniami z kołchozu zawieźli nas do miejscowości Pieskowka odległej o 52 kilometry. Nocowaliśmy u szwagra Dubiela. Spażyśmy na podłodze.

Następnego dnia 4 III 1946r podstawili wagony towarowe czyste z pryzami i dziurą w podłodze. Okna bez krat.

Wyjechaliśmy ze stacji Pieskowka. Na drogę dostaliśmy dobrą rybę, chleb. Żywność dostawaliśmy na większych stacjach. Z wagonu po prowiant wychodziły kobiety. W Kirowie z trudem odnalazłyśmy swój pociąg.

Przed odjazdem miejscowi ludzie żegnali nas i płakali. Mówili: "Wy wracacie do Polski. Wam będzie jeszcze dobrze, my pozostajemy w biedzie".

W czasie podróży trzy wagony odczepiły się od pociągu. Pozostaliśmy w ciemną noc na torach. Byliśmy przerażeni, aby nie doszło do wypadku. Szczęśliwie się zakończyło. Przyjechał pociąg do którego dołączono nasze wagony.

W Brześciu nad Bugiem dostaliśmy suchy prowiant. Miały być ciastka dla dzieci, ale nie dostaliśmy. Przesiedliśmy się do wagonów PKP.

Wróciłam do męża na gospodarstwo do Wojciechowa. Byliśmy wreszcie razem.

Za zgodność: Sacha Otylia - -
Otylia Olchawa-Sacha
58-562 Podgórzyn
ul Kościelna 3

Wspomnienia spisała
Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska

Podgórzyn dnia, 24 I 1991r